

Od autora: Miała w sobie to "coś", czego nie sposób nazwać ani określić w jakiś jednoznaczny sposób. Coś, co niewykluczone, że pochodzi z zupełnie innej rzeczywistości. Nie z tego świata.

Potrafiła przepięknie opowiadać. Człowiek wsłuchiwał się nie tyle w jej historie, ale w jej ciepły, kojący głos. Nie trzeba było tego rozumieć. Wystarczyło wsłuchać się w delikatny szum wypowiedzianych przez nią słów. I człowiek od razu zmieniał swoje myślenie. Choć pewnie nie każdy tak miał. Ja tak.

Obok Runy Wunjo, namalowała jeszcze na mojej dłoni Dagaz. Nikt inny takiej Runy nie miał. Runy dobrobytu i szczęścia. Gwiazdy Porannej. Późniejszej Cisy Poranka. Czyli tego, co dookreśla mnie.

Poczułam się trochę wyróżniona i mocno wzięłam sobie to do serca. Myślałam jednak, że zbudowanie własnego szczęścia na tym znaku, będzie łatwe. Gdy tymczasem...

Wiadomość o jej śmierci dotarła do mnie akurat tego dnia, gdy jechałam do Warszawy. Jakieś parędziesiąt kilometrów przed Częstochową. Kompletne zaskoczenie. Chyba nawet bardziej niedowierzenie. I ta przedziwna myśl: dlaczego akurat dzisiaj. Dlaczego Tu. Czy chcesz mi coś powiedzieć?

Od tamtego momentu moje sprawy zawodowe i finansowe, zaczęły nabierać jakiegoś nowego wymiaru. Rozdzwoniły się telefony. Zaczęli przychodzić do mnie nowi klienci i momentami traciłam już rachubę, kto jest kto i skąd się u mnie wziął.

Nie przypuszczam, że to sprawa Run. Domyślałam się też, że nie czary, a śmierć Ewy, która dopadła mnie akurat w takim miejscu i czasie, które w jakiś fizyczny i duchowy sposób mnie z nią wiązały, była tylko takim malutkim wątkiem, mającym mi uzmysłwić to, że nic nie jest przypadkiem, a szczęście, zaliczając czasem różnego typu porażki, biegnie razem z nami. Jest zakorzenione w nas. I jeśli tylko mamy w sobie na tyle odwagi i wiary, by w nie uwierzyć, budzi się z nami każdego dnia, przenosząc nas do jakiegoś innego - nowy wymiar nas.

Wczoraj wieczorem, gdy siedziałam już przy moim stole i kończyłam jeść przygotowaną własnoręcznie obiadokolację, zobaczyłam, że na wyświetlaczu mojego telefonu jest jakichś kilka nieodebranych rozmów. Kliknęłam. Widząc, że wśród dzwoniących była również moja córka, postanowiłam do niej odzwonić.

- O wilku mowa - usłyszałam - dzwonię tylko, żeby Ci powiedzieć, że ojciec jest w szpitalu. Znowu w śpiączce.

Cóż mogłam jej powiedzieć. Zresztą ona sama woli już tego faktu nie komentować. Bo też sytuacja, do której ten człowiek doprowadził się na własne życzenie, nie wymaga już żadnego komentarza.

Być może powinnam tego człowieka nienawidzić. Za te wszystkie lata przykrości, które mi sprawił. Za to, że pozwolił mi na robienie różnych głupich rzeczy. Dla niego. Dla nas. W imię miłości, która była, ale która nie potrafiła przebić się przez jego zziębnięte serce.

Był jak góra lodowa, z sercem wulkanu. Pewnie to niemożliwe, ale... Kto to wie. Zawsze o kilka metrów wyżej, trzymał mnie na własnej uprzęży. Gdy on leciał w dół, to ja razem z nim. Gdy on balansował 7 metrów nad przepaścią, ja waliłam głową o ścianę. W końcu odciąłem tę linę. On spadł na same dno

własnej rozpacz. Ja zaczęłam mozolić się w górę. Mając na swojej dłoni ślad tego lekkiego motyla, myślałam, że sobie pofrunę. Mojej uwadze umknął fakt, iż Runa Dagaz ma wpleciony w siebie krzyż. I, że aby zawrócić, będę musiała ten wielki zygzak w sercu zaliczyć.

Skończyłam mój obiad. Dopilałam lampkę czerwonego wina. I poszłam się wykąpać. W głowie tysiąc myśli na sekundę. W sercu smutek. I złość. Jak mogłeś do tego wszystkiego dopuścić!!! Dlaczego pozwoliłeś mi odejść!!! I nie, żebym miała o to żal.

Moje życie zaczyna się jakoś układać. Po 10 latach mozolenia się z zwyczajną, polską codziennością, która nikogo nie rozpieszcza i nie dopieszcza. Ta złość, dotyczyła jego beznadziei. Tego ciągłego wybierania skrótów. Bo tak szybciej i łatwiej. Bliżej piekła, które czeka na nas niemalże za każdym rogiem. Piekło w pięknej oprawie, alkoholowego zapomnienia.

Myślę, że to koszmarny ból wewnętrzny ciągnie tego typu ludzi w dół. W przepaść. Nie wiedzą jak kochać. Boją się zaufać czemuś, co w ich mniemaniu, nie jest dla nich przeznaczone. Brak nadziei, to coś więcej niż brak światła. To poczucie, że jest się kimś, kto nie zasługuje na bezwarunkową miłość. To coś, co każe szarpać wszystkich tych, którzy myślą inaczej. Bo to, czego sam dla siebie nie załatwię. Czego się nie wezmę od innych. To "coś" zwyczajnie nie istnieje. Bo na wszystko trzeba sobie w życiu zasłużyć.

To, co stało się z moim byłym mężem po rozwodzie. To, jak staczał się w dół. Jak próbował zabezpieczać się kolejnymi ofiarami jego różnych nadużyć. Za wszelką cenę chciałam uchronić przed tym naszą córkę. Nie protestowałam, gdy zdecydowała się na studia w Wiedniu. Pod jego kuratelą. Trudno jednak powiedzieć, że nie czułam w tym kontekście pewnych obaw. I zresztą bardzo słusznie, bo o mały włos, a stałaby się jego wierną służebnicą. A potem pewnie sama skończyła by tak jak on.

Na całe szczęście trafił się jej chłopak. Miłość od pierwszej rozmowy w pociągu.

- Taka "ever" - tłumaczyła mi w aucie. Podekscytowana jak nigdy dotąd.

Potem nastąpiło kilka przedziwnych zbiegów okoliczności, które sprawiły, że spadły jej z oczu klapki.

- Zjeżdżam do Polski - powiedziała mi przez telefon - dalsze studiowanie tutaj nie ma żadnego sensu. Ojciec i tak nie ma już kasy, żeby mnie tu utrzymać. Będę miała licencjat. Myślę, że to mi wystarczy.

Wiedziałam, że to ostateczna decyzja i że nie ma sensu jej do niczego przekonywać. Ma w sobie upór ojca. Jak coś postanowi, to zazwyczaj tak na 100%. Chyba, że decyzja, którą podejmuje, nie do końca jest jej - jak w przypadku wesela, ale o tym innym razem.

- Zamieszkam z dziadkami, bo mnie potrzebują - tłumaczyła mi, gdy już po jej powrocie, na chwilę spotkałyśmy się na mieście - ojciec załatwił mi pracę i kurs Prawo Jazdy. Z tego, co zarobię, będę remontować dom. Na podłodze zrobię panele.

W przerażeniu odkryłam, że słyszę jakby zupełnie obcą osobę. Jakby to nie było już moje dziecko. Bynajmniej nie te, które jeszcze tak niedawno mówiło do mnie: mamo, ale kiedy my się stąd wyprowadzimy.

Nie miałam wtedy za dużo czasu na rozmyślanie. Był początek lutego. Rozliczenia. Ja w biurze sama. Musiałam to jakoś wszystko ogarnąć. I nagle któregoś dnia telefon.

- Słuchaj, ty masz fakturę na mojego Nikona.

- Nie wiem. Musiałabym poszukać. A co zepsuł się - zapytałam. I w tym samym momencie, zdałam sobie sprawę, że aparat fotograficzny, który kupowałyśmy na spółkę - część zapłaciła sobie ona z pieniędzy uzbieranych wcześniej z różnego typu prezentów, a część ja dołożyłam jej, załatwiając jakieś raty - już dawno jest po gwarancji.

- Oj mamó! Nie będę ci teraz tłumaczyć. Komornik tu jest.

- Jaki komornik!!! - krzyknęłam w telefon.

I gdy ona swym naiwnym jeszcze dość głosem tłumaczyła mi pokrótce, co się stało, ja miałam ochotę potrząsnąć tym kimś przez telefon. Zrugłam obcego człowieka. Zamknęłam biuro. I wkurwiona pognałam na ratunek własnej córce. Po kilku kilometrach zdałam sobie sprawę, że to, co robię nie ma żadnego sensu, a człowiek, z którym chwilę temu rozmawiałam już za chwilę będzie w zupełnie innym miejscu.

Stanęłam na jakimś poboczu. Zadzwoiłam jeszcze raz. Wypytałam o szczegóły. Padło nazwisko prawnika, którego dobrze znam, bo kiedyś prowadził pewną sprawę, która była związana ze mną. I gdy ja miałam o gościu całkiem dobre zdanie, to mój były mąż - jak zwykle - nie zapłacił mu sporej części jego honorarium. Sprawa trafiła do sądu. Poszli niby na ugodę. Ale pieniędzy i tak z tego nie było. Facet więc wkurzył się i wynajął komornika. Ten wpadł do domu i zarekwirował wszystko, co miało jakąś wartość. Między innymi Nikona (o którym wspomniałam) i keyboard, który tuż po rozwodzie - za własne pieniądze - kupiłam mojej córce.

Wiedząc już, kto za tą sprawą stoi, napisałam krótkiego smsa: dlaczego w sprawach dotyczących mojego męża zawsze tracą osoby trzecie.

Zrozumiał. Oddzwonił do mnie. Poprosił, żeby zrobić protokół tych przedmiotów, które należały do mojej córki. I po jakimś miesiącu wszystko do nas szczęśliwie wróciło z powrotem. Ta sprawa jednak zatrzęsała moją córką. W końcu coś do niej dotarło. Obudziła się. I kilka tygodni później mieszkała już u mnie.

PS. Zawsze ratowałam jej dupę. Po każdym takim wydarzeniu wracała jak zbity pies. Nie przepraszała. Wiedziała, że nie musi. Dziś zastanawiam się czy ta moja dobroć - to ciągle nadstawianie własnego karku za innych - ma jakiś większy sens. Zastanawiam się po tym gdy kolejny raz dostałam po głowie za nic. Za to, że ośmieliłam się ponarzekać na kogoś, kto sromotnie mnie obraził.

- Ach ta mama. Taka delikatna i krucha. Nikt nie mówi jej prawdy prosto w oczy. I jakoś wszyscy mają prawo walić ją prosto w ryj. A ona ma się uśmiechać. Albo i nie.

Tak. Byłam ofiarą różnych bezsensownych historii. Ciągle kogoś ratuję. Ciągle chcę zbawiać świat. Niczego jednak nie żałuję, a za własne błędy odpowiadam sama. Nikogo nie obwiniam. Ani za głupie decyzje. Ani za porażki i błędy. Może nawet nie żałuję własnych grzechów. Tych, które mimo chęci wykrzyczenia ich prosto w twarz niektórym osobom, pozostawię tylko dla siebie.

Może tak było by łatwiej. Powiedzieć, że nie jestem święta. Że mam grzechy, za które można by mnie znienawidzić. Przynajmniej byłby konkretny powód. Ech...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

SylwiaJ, dodano 13.01.2020 13:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.